№ 42. Warszawa, dnia 3 (15) Października 1884 r. Tom XX.—Rok XXI.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGAWĘDKA.

Na czele dzisiejszej kroniki stawiamy sprawę młodzieży naszej i rozpoczynamy od przypomnienia ogółowi obowiązku, jaki co rok o tej porze wypełnia, wspomagając ubogich uczniów, zagrożonych wydaleniem ze szkół na wypadek nieopłacenia *wpisów*.

Po redakcyach pism codziennych i tygodniowych, które podjęły się szlachetnej missyi kwestowania na korzyść młodzieży, snują się setki biednych gimnazyastów, a, niestety, w roku bieżącym środków zapomogi mniej, niż kiedykolwiek, bo ofiarność publiczna więcej ma dobrych chęci, aniżeli gotówki na zbyciu.

Datki napływają powoli; kropla po kropli sączy się do pustej czary, a tu czas leci i odkładać z dzisiaj na jutro oznaczonego terminu nie można.

Warszawa w stosunku do prowincyi dźwiga prawie sama jedna na swoich barkach obowiązek filantropijno-obywatelski wspierania rozmaitych celów publicznych; pochlebnie to dla niej, ale uciążliwie zarazem.

Ogół powinien jej w tem zadaniu pomagać, jak to czyni w wyjątkowo ważnych okolicznościach. Niechby tylko prowincyonalni prenumeratorowie pism warszawskich dorzucali jaką złotówkę w kwartale przy przesyłaniu przedpłaty, na cele rozmaitych zapomóg publicznych, a uzbierałoby się z tych drobnych datków wcale pokaźny fundusz, z którego w takich razach, jak obecnie zaspokoić-by się dały gwałtowne potrzeby, niecierpiące zwłoki.

Niejednokrotnie zauważyliśmy, że ofiarność Warszawy ma swoje stałe firmy, swoich przedstawicieli już zdawna znanych, i ci przy każdej sposobności figurować muszą na listach wszelakich składek, bez których żadna kwesta publiczna obejść się nie może; ależ poza nimi jest jeszcze ogół ludności średniozamożnej, który „wdowiemi groszami“ mógłby dopełniać fundusze publicznego użytku. Mówi się o tem, pisze, powtarza, nakłania i tłómaczy, że w takich dziełach obywatelsko-dobroczynnych solidarność ogółu ułatwia zadanie i prosty rachunek przekonywa, że największy ciężar, rozłożony na więcej sił, łacniej dźwignąć się daje.

Kiedy my się tego nauczymy i przekonamy, że *l' union fait la force* na wszelkich polach działalności społecznej; że więcej może zrobić gromada połączonych liliputów, niż kilku siłaczy, obciążonych zanadto.

* * *

Sezon jesienny rozpocząć ma koncert pod dyrekcyą pana Adama Münchheimera na korzyść uczniów Instytutu Agronomicznego w Puławach, a jeżeli dopiszą losy i pożądana niespodzianka nie zawiedzie, można mu z góry przepowiedzieć znakomite powodzenie. Jakżeż bowiem nie ma się sala przepełnić, jeżeli na estradzie koncertowej stanie.... Modrzejowska, która podobno swój udział przyrzekła i do Warszawy umyślnie zjechać w tym celu zamierza!

Znakomita artystka wypoczywa obecnie po tryumfach i podróżach za Oceanem w swojem własnem *tusculum* w Krakowie, a zanim znowu wybierze się do Yankesów, chce chociaż kilkoma pięknemi wrażeniami udarować rodaków.

Niezaprzeczenie z tej rzadkiej sposobności skorzystają inicyatorowie innych jeszcze widowisk na cele publiczne, a dyrekcya teatru pozyska artystkę choćby na kilka występów, czem zaskarbi sobie, nietylko wdzięczność publiczności, ale przysporzy dochodu, o który dzisiaj bardzo dbać powinna.

Ostatnią naszą wiadomość o pokryciu połowy deficytu teatralnego dopełnić nam należy późniejszą wersyą, iż wszystkie długi warszawskiej sceny umorzone zostały zupełnie; dyrekcya ma zatem ręce rozwiązane, ale z rąk tych wypadła jej także podpora, którą stanowiła roczna subwencya rządowa. Dziś trzeba stać o własnej sile i trzymać się dzielnie, aby nie upaść.

W sztuce i publiczności szukając punktu oparcia, można być pewnym równowagi;—chodzi o to, żeby ją znaleźć umiano.

* * *

Z kroniki ostatnich dni zanotować winniśmy fakt, godny zupełnego uznania. Mamy na myśli fundacyą braci Lewensteinów i legat ich wynoszący 90,000 rs. na urządzenie w Warszawie domu wychowania dla sierot po robotnikach fabrycznych. Pan Leon Lewenstein (br. de Lenval), znany przemysłowiec i wspólnik jednej z najpierwszych firm fabrycznych, postanowił uczcić pamięć swojego syna, w kwiecie wieku zmarłego, i ofiarował na cel powyższy 60,000 rs., a brat jego dopełnił tę summę do 90,000.

Nowa instytucya ma znaczenie filantropijno-społeczne i pomnikową wartość; przygarnie ona biedne dzieci bez opieki, chleba, dachu i moralnej podpory; wychowywać będzie uczciwych ludzi i dobrych robotników; nauczy pracować i ochroni przed wszystkiemi jędzami i pokusami nędzy, upadku, jako też znieprawienia fizycznego i moralnego, jakie czychają na ofiary nieszczęśliwego proletaryatu.

Dla klassy roboczej instytucya taka będzie nietylko dobrodziejstwem, ale i zachętą do pracy uczciwej, która uczciwie się wywzajemnia ze strony chlebodawców, a uznanie i wdzięczność zasłonią serca i umysły przed zasiewem bałamutnych teoryi i poduszczeń.

Drugi, nader obywatelski, projekt podniósł pan

Bernard Kohen w *Izraelicie*, w celu powolnego usunięcia wpływu żydowskich chederów; wnioskodawca zadeklarował 3,000 rs. na początek z własnej kieszeni, jako pierwszą ofiarę, wzywając swoich współwyznawców i współobywateli do publicznej subskrypcyi, po uzyskaniu stosownego zezwolenia władzy. Z funduszów zebranych miałyby być zakładane szkoły elementarne dla dzieci izraelskich, z obszernym programmatem religijnym, w Warszawie i na prowincyi, udzielając nietylko w miarę potrzeby bezpłatnej nauki, ale i zapomogi materyalnej w odzieniu, książkach, kajetach i t. p. dla uboższej młodzieży.

Pan Kohen pragnąłby owe szkółki połączyć z warstatami, w których uczonoby rozmaitych rzemiosł i wykształcano dobrych, umiejętnych i zręcznych robotników, zamiast dzisiejszych partaczy, przyzwyczajonych niedbale, byle jak, na fuszerkę wykonywać rozmaite prace swojego zawodu. O zniesieniu zupełnem, natychmiastowem wszystkich chederów mowy być nie może, o reformie skutecznej niema co mówić w dzisiejszych warunkach; walka z obskurantyzmem, zakorzenionym od wieku, jest ryzykowną i prawie niemożliwą na razie; trzeba ją prowadzić oględnie i zwycięztwo przygotowywać rozważnie, powoli ale energicznie. Niezaprzeczenie, fanatyzm ciemnego tłumu w początkach przeszkadzać będzie i paraliżować dobre chęci i starania, lecz z czasem gdy widoczne dobre skutki się ukażą, przykład oddziała zachęcająco. Oświata zawsze na końcu zwyciężyć musi. Mimo wszystkie przeszkody i uprzedzenia znalazłby się nawet między zachowawczą ludnością żydowską pewien procent ryzykownych, którzyby dzieci swe, zamiast do chederów, zaczęli posyłać do szkół publicznych wyznaniowych, a korzyść odniesiona, pożytek niechybny byłby najlepszym argumentem przekonywającym o wyższości nauki szkolnej nad bałamuctwem umysłowem i fizyczną dezorganizacyą w owych ciemnych, brudnych, dusznych gniazdach obskurantyzmu, kazuistyki i religijnego fanatyzmu, jakie się plenią w dzisiejszych chederach.

Znieść je, a na ich miejsce nic nowego, lepszego nie stworzyć, znaczyłoby tosamo, co rozwalić fundamenta i zrzucić sobie cały dach na głowę. Wszelako wniosek p. Kohena, przy całej swojej praktyczności i obywatelskości, może być zwyczajną utopią, jeżeli nie znajdzie oparcia na gruncie legalnym i wszystkie deklarowane ofiary na nic się nie przydadzą, jeśli ich właściwie nie będzie można spożytkować.

Z nienabitej broni trudno wystrzelić, choćby wszystko było przygotowanem, trzeba uzyskać możność nabicia działa, a wtedy bombardowanie ciemnoty może się rozpocząć i doprowadzić do zwycięztwa.

U nas bardzo wiele spraw podobnych bywa do owego polowania na wróble, które się dzieciom przedstawia w ten sposób, że najłatwiej wróbla złowić, kiedy mu się soli na ogon nasypie. Wróble latają nad głowami, a my, jak dzieci, z solą w ręku czekamy na okazyą posypania im ogonów.

Możnaby powiedzieć, że żyjemy w epoce jubileuszów literackich i dziennikarskich; szeregi weteranów pióra zwiększają się i „dobrze zasłużeni“ odbierają należny im hołd za talent lub pracę. Nie łatwa to sprawa, w naszych warunkach dwadzieścia pięć lat, lub więcej życia, myśli, uczuć poświęcać dla ogółu, który karmi się tem i nie zastanawia się często, komu winien swoje moralne zdrowie, dobytek umysłowy, uszlachetnienie serca, uprzyjemnienie wielu smutnych chwil żywota.

Minęły może czasy, kiedy poeta miał prawo głośno powiedzieć, że: „ile pieśni dla nas utworzył o tyle kroków grób swój przysporzył“, ale na polu pracy literackiej i dziennikarskiej, dzisiaj śmiało każdy ruchliwszy, bardziej zamiłowany w swoim zawodzie i z poświęceniem wypełniający swe obowiązki pracownik pióra powtórzyć to może o sobie. Zawód pisarza, zwłaszcza wplecionego wkoło publicznych zajęć, bywa wysiłkiem, w którym najszlachetniejsza część istoty ludzkiej strawić się musi w ciągu długoletniej zwłaszcza służby. Duch i ciało pracują razem, energią woli podtrzymują się wzajem, silniejsi tylko pozostają na wyżynie, ale iluż słabych upada, przedwcześnie w grób się kładzie, a co gorsza zamiera za życia na chorobę straszną: „wypisaniem się“ zwaną!

Jest więc za co odznaczać i czcić wytrwałych, którym siły, talent, energia wystarczyły na ćwierć wieku ciągłej pracy.

W kole literatów, dziennikarzy i wydawców obchodzono w zeszłym tygodniu jubileusz dwudziosto-pięcioletniego redaktorstwa Ludwika Jenikego; postać to szacowna ze wszech miar, czysta i prawa, praca jego owocna i pożyteczna zapisała się niezatartemi głoskami w historyi naszej prassy obrazowej. Kierownik *Tygodnika illustrowanego* uważany być musi za seniora naszych redaktorów, i nic dziwnego, że na srebrne gody pisma i jego głównego opiekuna pośpieszyli wszyscy z kollegów, by uścisnąć spracowaną, uczciwą rękę Jenikego, która do dzisiejszego dnia trzyma ster najstarszej naszej illustracyi i pierwsza torowała drogę w tym rodzaju wydawnictw.

Drugim jubilatem pośród redaktorów warszawskich jest Józef Kenig, publicysta i dziennikarz na szerszą skalę, pisarz wytrawny, wysoce wykształcony, którego dziedziną od lat kilkudziesięciu była polityka, a rzec można, iż w niej równego sobie dotąd nie znalazł w prassie naszej Kenig kończy ćwierć wieku redaktorstwa swojego w *Gazecie Warszawskiej*, która jest najstarszym i jednym z najpoważniejszych organów polskiego dziennikarstwa.

W Krakowie zaś robią właśnie przygotowania do jubileuszowego obchodu 25-letniej działalności literackiej Michała Bałuckiego dramatycznego autora tylu utworów scenicznych i powieściowych, nacechowanych tak swojskim, żywym, i ruchliwym talentem. Bałucki pola nie zaległ, sił nie zmarnował, obdarzył literaturę całym szeregiem komedyi i powieści, nowelli obrazków i poezyi, a dzisiaj w pełni sił, w rozkwicie talentu z niejedną młodą siłą może pójść w zawody.

Z ruchu dziennikarskiego zapisać winniśmy pojawienie się dwóch nowych organów, wypełniających luki w warszawskiej i prowincyonalnej prassie. *Gazeta rzemieślniczo - przemysłowa* pojawiła się już i rozeszła pomiędzy swoich czytelników, których podobno więcej się zgłosiło, niż na początek można było przypuszczać. Gazeta robi dobre wrażenie w swoich pierwszych numerach; ma treść ożywioną, ton ciepły, popularny, porusza dosyć rozmaitych kwestyi i zapowiada się wcale korzystnie; byle tylko w tym duchu i w tym kierunku wytrwała.

Na prowincyi przybyła znów „*Gazeta Radomska*“ mająca wychodzić dwa razy w tygodniu. We wstępnym artykule od redakcyi czytamy: „Wszystko, co dobre zacne i piękne mieć będzie w nas zawsze i wszędzie gorliwych stronników; pomysł pożyteczny, myśl wzniosła, czyn szlachetny znajdą w nas gorące uznanie i poparcie. Wierzymy statecznie w szlachetne ideały duchowe, gdyż przez nie jedynie ludzkość uratowaną być może od materyalizmu, coraz więcej się szerzącego, który doprowadzić musi w końcu do moralnej zgnilizny. Nie samym chlebem człowiek żyje, a pierwiastek jego idealny potrzebuje koniecznie ideałów, które posłużą do jego odrodzenia. Szanujemy to, co miliony ludzi i dziesiątki wieków szanowały i czciły, tembardziej gdy przedmiotom tej czci niczego zarzucić nie możemy pod względem moralnym...“

„Pomimo tej wiary w poetyczne ideały jesteśmy gorącymi zwolennikami postępu, lecz postępu racyonalnego, stopniowego, opartego koniecznie na religii i moralności.“

W powyższych słowach redakcya dostatecznie scharakteryzowała swoje przekonania i dążenia, nacechowała wyraźnie stanowisko, jakie zajmować pragnie, a na którem życzymy jej wytrwania i powodzenia.

ZAKLĘCIE.

Wytężam źrenice:
O, niech cię pochwycę,
Choć sennem widzeniem,
Choć marą—złudzeniem.
Bohdan Zaleski.

O, niech cię pochwycę, choć sennem widzeniem,
O, niech cię choć marą obejmę ramieniem!
Gdy noc gwiazd miliardy rozsypie na niebie,
Ja tęsknię za tobą—ja przyzywam ciebie!....
Gdy noc się rozpostrze ponad światem cicha,
Gdy kwiat, ptak i owad spokojem oddycha,
Ja ciebie przyzywam, ty duchu mój jasny,
I wtedy ty jesteś mój tylko—mój własny!
Wyrazami tkliwej, gorącej pieszczoty,
Przemawiam do ciebie, o, śnie ty mój złoty!
Ty marą przychodzisz—i znikasz złudzeniem,
I dla mnie ty zawsze być musisz—marzeniem.
O przybądź ty do mnie! Noc ucieka wcześnie....
O śpiesz się!.... niechaj cię obaczę choć we śnie...
Potęgą, co w ziemi—potęgą, co w niebie,
Przyzywam ciebie!

Kruczyn.

PIERWSZA NOWELLA

PRZEZ

J. Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Chwyciłem ją za drobną rączkę i ścisnąłem serdecznie.

— Czuć razem z nimi—zawołałem żywo—i rozumieć ich, jest już bardzo wiele!

— Czuję bojaźń, zbliżając się do podobnych ludzi.

— Jest to dowód, że się jest bardzo blizkim owych wybrańców, o których pani mówi.

Leonila zaliczała mnie widocznie do nich, bo patrzała na mnie z pewną ukrytą bojaźnią. Przysunąłem się bliżej.

— Pani nie jesteś stworzona na powszednią kobietę — szepnąłem jej zcicha, aby stryjenka w drugim pokoju nie słyszała—pani umiesz wiele odczuć i zrozumieć!

— Czyż to być może?— odszepnęła powoli, ściskając mnie za rękę — czy pan się tylko nie mylisz?

— Serca czyste niczem jeszcze niezbrukane są nieomylne.

Leonila uśmiechnęła się wdzięcznie na ten dogmat. Dłuższy czas bawiła się koronką, jakby liczyć chciała węzełki cienkich niteczek.

— Tyle jest spornych kwestyi między nami — ozwała się po chwili — i potrzeba na to dłuższego czasu, abyśmy dobrze zrozumieć się mogli. Przymierza stałego pokoju następują zazwyczaj po wojnach. Nim to przymierze między nami nastąpi (Leonila patrzała tutaj w moje oczy), nim między nami zapanuje stała harmonia... zanim dwa niezgodne może dotąd tony zleją się w jeden akord zgody... wprzódy musimy się trochę pokłócić.

W tej chwili słyszałem, jak stryjenka zrzucała z nóg domowe pantofle, aby się ubrać w buciki i wyjść do salonu. Przyśpieszyłem rozmowę.

— Chcesz się pani kłócić? Dlaczegóż ta kłótnia ma nam zasępiać piękne niebo nasze?

— Choćby tylko dlatego — odpowiedziła z uśmiechem — aby się sprawdziło nasze przysłowie.

Ścisnąłem ją silniej za rączkę.

— Chcę się z panem o wiele rzeczy spierać,

choćby tylko dlatego, aby w końcu przystać na to wszystko, co pan mówisz i o czem piszesz.

Aby słów nie tracić, podziękowałem ściśnieniem ręki.

— Chciej pan częściej do nas przychodzić — mówiła dalej — a będziemy staczać walki o różne rzeczy. Wiele czytałam i wiele sama myślałam, ale do umysłu mego zakradł się jakiś nieporządek Chciałabym to wszystko uporządkować, a pan mi w tem dopomożesz. Nieprawda?

— Jak najchętniej — zawołałem.

— A jeśli deszcz i inne drobne wypadki przeszkodzą, pozwolisz pan, że do pana napiszę, a pan mi na to odpowiesz.

W tej chwili spadł z łoskotem drugi pantofel w przyległym pokoju na ziemię, a zaraz potem ukazała się we drzwiach chuda, lecz bardzo zacna matrona.

— Pan przerobisz mi Leonilkę na literatkę — rzekła do mnie zacna matrona — po nocy czytuje manuskrypta.

— Już nawet, stryjeńciu—odpowiedziała Leonila—stanęła między nami umowa o korrespondencyą literacką.

— Tego jeszcze brakowało! A co będzie z indykami, z kurami... a buraki, kalafiory i kapusta włoska poschną z braku wody?

— Wszystko będzie w porządku, kochana stryjeńciu. Przed obiadem gospodarstwo, po obiedzie literatura, w wieczór korrespondencya literacka. O każdej przeczytanej książce zdam sprawę, a pan odpowiesz mi na to. Nieprawdaż?

I podała mi obie rączki, na co stryjenka uśmiechnęła się z upodobaniem.

Otworzyły się drzwi, wszedł pan Jacek. Leonila nachmurzyła czoło i z widoczną niechęcią odwróciła od niego swoje oczy piwne. Przysunęła się do mnie i prowadziła dalej rozmowę ze mną, skinąwszy zaledwie głową na powitanie gościa.

Serce biło mi głośno w piersi. Widziałem wyraźnie, jak niemiłą była dla Leonili obecność pana Jacka. Zimne jak lód były jej spojrzenia, gdy trzeba było jemu odpowiedzieć. Pewna złośliwość malowała się wtedy na jej twarzy, a czasami była nawet niegrzeczną.

Łatwo odgadłem przyczynę tego. Chciała otwarcie okazać panu Jackowi obojętność dla jego możliwych zamysłów. Cieszyłem się z tego niemało, ale z drugiej strony żal mi było człowieka, który nie był tak, jak ja, szczęśliwym. Posiadłem widocznie serce Leonili. Rozmowa przeciągała się, ku wielkiemu zmartwieniu pana Jacka, który smutniał coraz więcej.

Na dobitkę zaprosiła mnie stryjenka na obiad, co nawet najśmielsze moje marzenia przewyższyło.

Z tryumfem przyniosłem nowellę do domu i zamknąłem ją do teki, jak skąpiec zamyka skarby swoje. Postanowiłem trzymać ją długo w ukryciu, bo prawdziwa zazdrość miotała mną, gdym pomyślał, że tysiące oczu będą czytać to, co już piwne oczka Leonili przeczytały.

Prawdziwe przymierze zawiązało się między mną a Leonilą. Chodziłem często do niej. Rozmawialiśmy ze sobą po całych wieczorach, czy kto był z gości, czy nie było nikogo. Czasami tylko pyzaty pan Jacek wcisnął się między nas, ale Leonila pozbywała się prędko natręta. Wyraźnie dawała mu do poznania, że ze mną woli rozmawiać. Pan Jacek w takim razie patrzał trochę zukosa na mnie, a najczęściej odchodził do zielonego stolika i kartami się zabawiał. Gniewało to widocznie Leonilę, która kart nie lubiła. Z tego powodu dostawało się sporo panu Jackowi, z czego śmiałem się z niemałem zadowoleniem.

Tak upłynęło parę miesięcy, po których nadszedł czas sadzenia buraków, kalafiorów i włoskiej kapusty. Stryjenka uznała wtedy za stosowne wyjechać na wieś i wziąć z sobą Leonilę. Pożegnanie nasze było serdeczne. Zjedliśmy razem obiadek wczesny. Leonila siedziała przy mnie i wyborne potrawy przyprawiała mi słodkiemi słówkami. Po obiedzie pomagałem wiązać różne węzełki podróżne, a w godzinę później wsadziłem własnoręcznie do powozu stryjenkę i Leonilę. Długo patrzałem za oddalającym się powozem, a nawet zdawało mi się, że na zakręcie ulicy wionęła ku mnie biała batystowa chusteczka.

Wiadomo, czem w dziejach serca jest pierwsze rozstanie. Ucho jest zbyt trzeźwym regulatorem rozmowy naszej. Inaczej jest z papierem. Możemy na nim więcej napisać, innych użyć wyrażeń i zwrotów, aniżeliby ucho nasze na to pozwoliło. Nieraz w rozmowie braknie nam słowa lub konceptu, pisząc zaś, mamy czas do namysłu. Najznakomitsi autorowie nie umieli w towarzystwie rozmawiać.

Zaraz w pierwszym tygodniu otrzymałem różowy liścik ze złotą winietą. „Listowy“ z pewnym uśmiechem doręczył mi go, za co otrzymał sowite wynagrodzenie. Leonila pisała wiele o rozkoszach wiejskich, o skowronkach i kwiatkach, o cielętach i włoskiej kapuście, ale dodała w końcu, że to wszystko jest dla niej obojętne. Zdawało się jej, że dawna Leonila została w mieście, a na wieś przyjechał tylko jej sobowtór, ruszający się jak automat. Jaka była moja odpowiedź, łatwo odgadnąć.

Co tydzień powtarzała się nasza korrespondencya. Czasem była w niej mowa o literatrze i poezyi, o tej lub owej książce, a najczęściej zwierzaliśmy się sobie z naszych wrażeń doznanych. Listy Leonili były wszerz i wzdłuż zapisane, a tyle było w nich kropek i domyślników, że wystarczały mi na kilka godzin do czytania. Oddawałem jej pięknem za nadobne, odpowiadając nie mniejszą liczbą tych znaków pisarskich. Być może, że to wpłynęło nawet szkodliwie na mnie w moim późniejszym zawodzie autorskim.

Trwało to czas niejaki. Ukrywałem się z tem przed światem tak, jak się ukrywamy z każdem szlachetniejszem uczuciem. Nikomu nie zwierzałem się. Chodziłem z czołem zmarszczonem, jak Jowisz przed narodzeniem się Minerwy. Leonila siedziała mi ćwiekiem w głowie, ale nikt o tem nie wiedział. Czekałem, aż koniec buławy z mojego tornistra się ukaże, co dla zamiarów matrymonialnych było koniecznem.

Dziwiło mnie tylko, że mimo mojej skrytości wiedzieli ludzie, co mi w głowie siedzi. Ten i ów wymawiał imię Leonili z pewnym życzliwym uśmiechem, za co się wcale nie gniewałem. Osobliwie kobiety, które Leonilę dobrze znały, napomykały często w rozmowie ze mną o moich korrespondencyach literackich. Miały przytem na ustach jakiś uśmiech nieokreślony, który jednak więcej z życzliwością, niżeli z ironią, graniczył.

Tak minęło znowu kilka miesięcy. Pewnego dnia otrzymałem, jak zwykle, liścik różowy ze złotą winietą. Był nieco grubszy i miał jakąś woń roślinną. Gdy go otworzyłem, ujrzałem bratek olbrzymich rozmiarów, koloru ciemno-wiśniowego O tym nadzwyczajnym dodatku nie wspominała Leonila nic w liście swoim. Był to tylko—domyślnik. Za to pisała wiele o wdziękach natury i o swojej niewytłómaczonej tęsknocie za tem, czego dotąd wymówić nie umie lub nie śmie. Dodała do tego, że za kilka dni są urodziny stryjenki, i że ma jakieś tajemne przeczucie, iż ten dzień będzie dla niej dniem szczęścia. Zakończyła ten list wyrażeniem: „Do widzenia“ czego w innych listach nie było. Mniej odemnie domyślny mógł to zrozumieć. Było to jasne wezwanie, abym przyjechał i położył koniec tęsknocie nieodgadnionej.

Gdy to wszystko w głowie mojej zajaśniało, poczułem się bohaterem rzeczywistej nowelli. Poczyniłem przygotowania, o których niejeden autor zapomina. Kazałem sobie odświeżyć czarny tużurek, frak wyprasować, i kupiłem pół tuzina jasnych rękawiczek. Na stacyi pocztowej miała na mnie czekać żółta dorożka stryjenki, którą dobrze znałem.

W kilka dni potem siedziałem w karetce pocztowej. Nie odzywałem się do nikogo. Widziałem ciągle przed oczyma Leonilę, jak różyczkę rozkwitłą, to znów jako bratek olbrzymi. Wyciągała do mnie drobne rączęta, a ja przyciągałem ją za te rączęta do siebie tak blizko, że mogłem wyraźnie czuć bicie serca i oddech gorący. Wpadałem wtedy w pewne odurzenie, a towarzysze podróży myśleli, że sen mnie zmorzył.

Trwało to pół dnia.

W połowie dnia zatrzymał się wóz pocztowy przed domem, który miał godło: „pod trąbką.“ Konduktor oznajmił mi, że tu zjemy obiad. Weszliśmy do pokoju z długim nakrytym stołem.

Przy stole siedział szpakowaty jegomość z ogorzałym karkiem. Zajadał jakieś mięsiwo i popijał winem. Przy nim siedziała młoda kobieta. Nic nie jadła, ale za to z całą uwagą przypatrywała się różnym drobnym ozdóbkom, służącym do strojów kobiecych. Na nowych gości nie zważała wcale.

— Mogłabyś coś przekąsić — ozwał się do niej jegomość, nalewając nowy kieliszek. — Do wieczora daleko, a zabawa lepiej idzie, gdy nie trzeba czekać na posiłek.

— Przecież w domu coś dla nas będzie — odrzekła młoda towarzyszka.

— Was tylko stroje zajmują!

Na to podniosła oczy młoda kobieta. Spojrzała po nowych gościach, a z kolei i na mnie. Szafirowe jej oczy zatrzymały się dłużej przy mnie, a blada jej twarz zaczęła się ożywiać.

Nie było w tem nic dziwnego. Gdy się jest młodym, często się to spostrzega. Ale w tych oczach szafirowych było coś wyjątkowego. Najpierw przesunęło się po nich jakieś ożywcze uczucie—potem jakaś mgła przyćmiła je, ale na to tylko, aby po chwili tem jaśniej zabłysnąć. Otworzyły się szeroko, jakby doznały jakiegoś niespodzianego, ale nader przyjemnego, wrażenia.

Po niejakiej chwili zbliżyła usta do ucha jegomości i coś w nie szepnęła. Jegomość bez żadnej dyplomacyi spojrzał wprost na mnie. To mnie zaciekawiło. Zacząłem się bliżej przypatrywać nieznajomej. Nie była klassycznie piękną, ale miała w całej swej postaci jakiś urok niepospolity. Słusznego wzrostu, była wiotka, jak młoda topola, gdy nią wietrzyk ciepły porusza. Twarz miała bladą, włosy niepewnego koloru. Duże szafirowe oczy błyszczały jasno, jakby zwilżone rosą niebiańską. Ciekawie patrzała na mnie a na matowych ustach drżał jakiś uśmiech zagadkowy.

Szpakowaty jegomość bębnił tymczasem palcami po stole. Widać było z jego wąsów, że się do czegoś gotował.

Nie omyliło mnie przeczucie.

— Pan zapewne dążysz na zabawę do pani... zapytał bez ceremonii.

— Tak jest — odpowiedziałem zdziwiony — ale nie wiem, jakim sposobem mogłeś pan dobrodziej poznać.

— To już rzecz mojej córki — przerwał, wychylając kieliszek — która ma fotografie wszystkich, co piszą i drukują. A co, Małgosiu?

Małgosia zarumieniła się teraz, jak alkiermes, a szafirowe jej oczy przybrały axamitną barwę dwóch bratków.

Nastąpiły ukłony, po ukłonach słowa i półsłówka, a potem pospolite grzeczności. Okazało się, że fotografia nie omyliła, a mnie rosło serce, że już byłem znany całemu światu.

W takiej chwili życia jest człowiek zazwyczaj słabym; na wiele rzeczy się zgodzi—czarne nazwie białem, a białe czarnem — a w kwestyach politycznych może się nawet z jednego obozu przerzucić do drugiego. Próżność jest piętą achillesową każdego, choćby największego, bohatera, nie wyłączając nawet... trybunów ludowych.

(Dokończenie nastąpi).

SIÓDMY KONGRES
MIĘDZYNARODOWY LITERACKI
w Bruxelli.

Bruxella d. 4 Października 1884 r.

Towarzystwo literackie międzynarodowe, a jakby właściwiej mówić należało, wszechnarodowe, niewpuszczne przez cholerę do Hiszpanii, odbyło

tegoroczny swój kongres na gościnnej ziemi belgijskiej. Jako jeden z marszałków towarzystwa, udałem się i ja na narady kongressowe, i dlatego zwykłą moję korrespondencyą z Paryża zastąpi dziś zdanie sprawy o mojej podróży z Paryża do Bruxelli, o czynnościach kongresu — i o tem, co zblizka lub zdaleka tyczy się tego zjazdu, jeżeli nie zupełnie uczonych ludzi, to przynajmniej mających jakiekolwiek stosunki z piśmiennictwem i literaturą.

Ongi podróż z Paryża do Belgii mogła być łatwo powodem do napisania całego tomu o tej pielgrzymce. Dziś, dzięki kolei żelaznej i gorączkowemu pośpiechowi, z jakim każdy leci do celu, literatura podróżo-pisarska staje się coraz to rzadszą, coraz cięższe ma przed sobą warunki. Co tu pisać o kraju, o ludziach, kiedy człowiek jak strzała przelatuje wśród zjawisk, nie mając ani sposobu, ani czasu rozpoznać nawet gdzie się znajduje i na co patrzy:—wskutek czego wszystkie opowiadania są albo czystą fantazyą piszącego, albo wyciągami z tych przewodników, które się znajdują we wszystkich hotelach świata. Tu doprawdy można powiedzieć z Malczeskim, że podróżujący jest jak owa jaskółka z *Maryi*, do której poeta tak się odzywa:

A ty, mała ptaszyno, co każdego widzisz
Co mu w oczy zaglądasz i o coś się pytasz,
Spiesz się myśl twoją szepnąć kozakowi,
Bo nim skończysz twe koło, oni ujść gotowi.

I tak jest, zaprawdę: nim miałem czas oczy przetrzeć, wyjeżdżając z Paryża, już byłem w Bruxelli...

Tutaj zresztą, jak wszędzie, odmienność, różnica pomiędzy sąsiadującemi ze sobą ludami jest niedostrzeżona prawie. Jednakowa odzież, jednakowa mieszkanie, tenżesam sposób życia, i równy apetyt do obdarcia podróżnika, nie dają żadnej podstawy do porównywań i rozróżniań. Nawet język tensam—i wsłuchać się potrzeba dobrze w mowę Belgijczyków, aby pochwycić różnicę akcentu.

O samej więc podróży niema co mówić; pociąg leci jak szalony, para świszcze, kocioł hrapie. Domy, lasy, rzeki, ludzie i źwierzęta, lecą, jak w kołowrocie, po obu stronach. Towarzysze podróży, albo się nudzą głupią, albo gniewają wstrętną rozmową, albo zamknięci, każdy w swój kącik, w milczeniu i drzemce, kiedyniekiedy osowiałemi, błędnemi oczyma rzucają dokoła w stanie nawpół bezwiednym. Podróż więc i wrażenia trzeba odrzucić, jak stare zużyte kostyumy teatralne, a wracać do celu i przedmiotu podróży.

Jak mówiłem, jest to siódmy z kolei kongres towarzystwa, które, tym razem zakreślając rozleglejsze koło działania, rozszerzyło i samą nazwę, gdyż dziś jest już towarzystwem literacko-artystycznem międzynarodowem. Wchłaniając w siebie i artystów, towarzystwo dopełnia głównego swego zobowiązania, które miało na celu ogólną i powszechną obronę własności intellektualnej, w jakiejbądź formie.

Oprócz tej zmiany, swej firmy, że tak powiem, towarzystwo na kongres tegoroczny przyniosło jeszcze ważny dla siebie fakt, który spełnił się za jego wpływem i staraniem, fakt jakby urzędowego uznania prac jego przez większość rządów europejskich. Stało się to na zjeździe delegacyi dyplomatycznej w Bernie Szwajcarskim, którego następstwem jest tak zwana *Konwencya Berneńska*. Z wyjątkiem Rossyi, Stanów Zjednoczonych Ameryki, Portugalii i Grecyi, wszystkie inne rządy uczestniczyły w naradach i za wspólną zgodą zatwierdziły programmat, mający służyć, jakby za modłę w przyszłości do zewnętrznego ujednostajnienia prawodawstwa, we wszystkich krajach, pod względem własności literackiej i artystycznej. Myśl przewodnia tego programmatu wyraża się w dążeniu, aby każde dzieło, każdy utwór literacki i artystyczny, również jak każdy autor obcy, używał takichsamych praw, takiejsamej opieki, jakie przysługują samym krajowcom.

Przynosząc ten fakt dyplomatyczny, w danym zakresie doniosły i ważny, towarzystwo starało się na kongressie w Bruxelli wyjaśnić i stwierdzić niektóre punkta tyczące się własności literacko-artystycznej, które dotąd nie miały dostatecznie określonej formy, a mianowicie: 1) stwierdzenie ostateczne prawa własności, która w żadnym wypadku odjętą być nie może, i której ustąpienie na rzecz wydawcy lub właściciela jakiejbądź kategoryi może nastąpić jedynie wskutek dobrowolnego zgodzenia się na to samego autora. Jednem słowem: reprodukcya książki, kompozycyi muzycznej, obrazu w jakiejbądź formie może się stać jedynie za zgodą i pozwoleniem autora. 2) Wywóz lub wprowadzanie dzieł artystycznych powinny być wolne od wszelkich celnych ciężarów i trudności,—i nakoniec 3) Żadne urządzenie i rozporządzenie nie może zmienić i nadwerężyć praw autorskich, bez poprzedniej zgody interessowanych w tem osób.

Łatwo zrozumiecie ważność tych kwestyi i doniosłość rozpraw kongressu; były one daleko ważniejsze, aniżeli na którymkolwiek z poprzednich zjazdów. A przyjęcie gościnne i serdeczne, jakie tu nam zgotowali Belgowie, przechodzi wszystko, czegośmy mogli zapragnąć.

Zjazd, naznaczony na dzień 27 Września, odbył się szczęśliwie, i więcej niż ośmdziesięciu członków zapisało swe nazwiska na liście obecnych. Otwarcie obrad dokonało się w Sobotę, w dzień oznaczony na posiedzeniu solennem i pod prezydencyą ministra belgijskiego p. Bernaerta. W pięknej przemowie, bo minister jest jednym z najzdolniejszych ludzi w Belgii, przewodniczący, składając towarzystwu zapewnienie najżywszej sympatyi, przypomniał dawniejsze stanowisko, jakie liberalna Belgia przyjęła w tym ruchu umysłowym—i zapewnił kongres, że prawo o własności literackiej, stosownie właśnie do życzeń kongressu i konwencyi berneńskiej przygotowane przezeń, złożone zostanie wkrótce w Parlamencie Belgijskim i po rozprawach wyjdzie zapewne na świat, jako dowód liberalnych i światłych usposobień, tak rządu, jak i Narodu Belgijskiego.

Nie mam potrzeby mówić, jakiemi oklaskami przyjęto mowę ministra. A jakkolwiek ministeryum dzisiejsze uważane tu jest za wsteczne, gdyż wyszło z obozu tak zwanego katolickiego (Catholiques Belges) i może mieć swoich nieprzyjaciół, i przeciwników, należy mu jednak oddać tę sprawiedliwość, że w żadnym kraju, a nawet i w samej Francyi, towarzystwo nasze i kongres nie mogły znaleźć, ani lepszego przyjęcia, ani liberalniejszego poparcia. Zresztą, oile poznać mogłem, to ta kwestya klerykalizmu ministeryalnego daleko więcej ma rozgłosu i znaczenia w dziennikach obu stronnictw, aniżeli w kraju. Z każdym dniem sprawy coraz zgodniej się układają, przychodzi uspokojenie i łatwo jest przewidzieć, że wkrótce wszystko wróci do dawnego spokoju i porządku.

Tegosamego dnia, po skończonej sessyi otwarcia, czyniąc zadość żądaniu rady municypalnej bruxelskiej, udaliśmy się wieczorem do Ratusza. Znacie już z rycin i obrazów ten Ratusz Bruxelski; jest to prawdziwe cacko architektury i rzeźbiarstwa. Oświecony rzęsiście, z dodaniem elektrycznego światła, miał on prawdziwie cudowny i czarodziejski widok — przepych artystyczny sal wewnętrznych, blask światła, łamiący się wśród różnobarwnych makat, wśród kwiatów i zieleni.. Zapełniony strojnym tłumem zgromadzonych gości, stary gmach zdawał się przypominać swą młodość z czasów Karola V-go.

Burmistrz dzisiejszy, należący do stronnictwa, które tu przybrało miano *Liberalnego*, stoi w oppozycyi w ministeryum dzisiejszem; nie przeszkadza to jednak wcale porządnemu i zgodnemu biegowi spraw leżących poza obrębem oppozycyi i walki. Na tem tedy przyjęciu u liberalnego p. Bulsa znajdował się i minister klerykalny. Burmistrza otaczali ławnicy rady. Gospodarz miasta powitał nas piękną przemową. Podano nam, obyczajem tutejszym, wino gościnności. Przy odgłosie muzyki, przy suto zastawionym bufecie, gdzie wszystko było wyborne, kongressiści nie mogli sżalić, ani na niegościnność oppozycyi, ani na nieuprzejmość ministeryalną. A ja, ku innym uciekając czasom, przypominałem sobie Kraków, czasy Kazimierza W-go, gościnność Wierzynka,— i szeptałem zcicha: „Habe dank! habe dank!"

Dzień następny (Niedziela 28 Września), był przeznaczony na wycieczkę kongressistów do Antwerpii. Po gorącem i świetnem otwarciu prac naszych w Sobotę był to jakby tryumfalny pochód wśród kraju, który nas otwartemi prawdziwie przyjmował ramionami. Pół drogi żelazną koleją, a pół drogi parowcem przybyliśmy do Antwerpii. Rzeka Skalda, wspaniała i szeroka jak nasza Wisła pod Gdańskiem, spokojnie podmywa mury starego mieściska i zwolna kołysze tysiącem masztów i okrętów, które się tu z całego świata zbiegają. Wrażenie jest pełne wdzięku, ale nie uderza wcale ogromem, jaki myśl wytwarza sobie na wspomnienie tego sławnego portu. Trzeba dopiero wedrzeć się do wnętrza starego grodu, zobaczyć stare domiska flamandzkie, wspaniałe kościoły, ogarnąć wzrokiem ludek krzątający się jak mrowisko; aby dobrze zrozumieć, Antwerpią.

Tutaj również municypalność jest oppozycyjną. Po krótkiem przywitaniu, w chwili wyjścia naszego ze statku na ląd, burmistrz i ławnicy zaprowadzili nas do wspaniałego również, jak bruxelski, ratusza. Witali nas serdecznie słowem, i znowu wino rozweseliło serca i umysł, trochę zmęczonych kongressistów. Po obejrzeniu pięknego wnętrza ratusza udaliśmy się do katedry. Główną jej ozdobą, jak wiecie, są dwa olbrzymie obrazy Rubensa, z których ów przedstawiający *Zdjęcie z Krzyża*, używa sprawiedliwie uniwersalnej sławy, chociaż drugi, *Chrystus niosący krzyż na Golgotę*, nie ustępuje mu ani blaskiem kolorytu, ani wogóle świetnością wykonania.

Ale, niestety, wycieczki te, jakkolwiek zajmujące, nużą jednak nadzwyczajnie. Widzicie z tego, co piszę, jak człowiek z trudnością może sobie zdać sprawę, z tego, na co patrzy i co go otacza. Czas nieubłagany, czas gwałtowny naprzód go popycha, tak, iż nie może niczem dosyć się nacieszyć. Nastąpiło śniadanie huczne i wrzaskliwe, jak zwykle, uczty wspólne; poczem udaliśmy się na zwiedzenie sławnego staroświeckiego zakładu typograficznego znanego pod nazwą *Domu Plantin'a*, nazwisko sławnej rodziny typografów z XV i XVI wieku. Dom ten i zakład zachowany, wyrestaurowany z niezmiernem staraniem i umiejętnością, przedstawia ciekawym oczom podróżnika zakład drukarski, nietylko ze wszelkiemi przyrządami, i z całą organizacyą z owych czasów, ale i z całem urządzeniem mieszkania dawnych posiadaczy i kierowników. Ciekawe to jest pod każdym względem. Czy to się zatrzymamy przed machinami i narzędziami służącemi do wytłaczania, czy przed okazami dzieł, które wyszły z tego zakładu, czy przed współczesnemi portretami właścicieli zakładu, czy wreszcie przed wewnętrznemi urządzeniami mieszkania, gdzie na stole, jakby wczoraj zapomniane, widać stare fajeczki, rzemykiem ściągnięte kapciuchy, skromne łóżko z kotarą, skromny jadalny pokój—słowem: na każdym kroku — wrażenie czeka nas oryginalne, miłe a silne. Jest to muzeum, oile wiem, jedyne w swoim rodzaju, i możnaby całą książkę z jego powodu napisać.

Tymczasem żegnajmy Antwerpian i wracajmy do Bruxelli, gdzie nas czeka kongres i bankiety.

W Poniedziałek tedy wróciliśmy do swych urzędowych zatrudnień, o których wspomniałem już na początku tego listu, gotując się nazajutrz, we Wtorek, do rannej i ciekawej wycieczki do Brugii (Bruges, Brüggen). Stare to miasto, niegdyś sławne swoim handlem, bogactwem, i ludnością, dziś liczy zaledwie 50,000 mieszkańców. Jest to jakby nekropola przeszłości flamandzkiej. Nie wracam już do powitania, do ratusza, do wina, do przemówień i kongratulacyi. Jest ta zawsze tażsama szczera gościnność, tylko rada municypalna trzyma tu z rządem, a nam przewodniczy sam minister. Wszędzie tu pełno pięknych i ciekawych zabytków sztuki, z najlepszych czasów Flamandów. W katedrze śliczne obrazy, misterna ambona, rzeźbiona z drzewa, maleńki, ale cudowny posąg z marmuru: *Najświętszej Panny z Dzieciątkiem*, przypisywany Michałowi Aniołowi Buonarottemu, Muzeum i jego perły, ale przedewszystkiem szpital dla starców, prawdziwe muzeum ciekawych zabytków, tak pod względem malowideł, makat, pięknych manuskryptów, ozdo-

bionych ślicznemi miniaturami, jako też pod względem starych sprzętów, utrzymywanych z tem staraniem i czystością, które zalecają Flamandczyków w ogólności, a szczególniej siostry, których pieczy poruczony jest zarząd tego zakładu. W refektarzu pokazywano nam ciekawy stół, długi na dziewięć metrów, szeroki prawie na dobry łokieć, a pięć cali mający grubości, zrobiony z jednej deski dębowej. Cóż to musiał być za olbrzym ów dąb, jeśli z niego można było wyciosać tak wspaniałą płytę!

Nie mogę tu mówić o innych szczegółach i zabytkach sztuki brugijskiej; kiedyś może wrócę do tego, gdy się zdarzy czas i sposobność. Dziś wracamy do Bruxelli; czeka tu nas walne posiedzenie, na którem ma się znajdować sam król Leopold II.

Jest to niemały zaszczyt dla naszego stowarzyszenia, ilekroć w kraju, gdzie zasiadamy chwilowo, nawiedzi obrady nasze sam panujący. Prawdę mówiąc, tyle już hałasu narobił w świecie ten wyraz: „Międzynarodowy"—„International", że trudno jest czasem, ażeby na samo wymówienie go nie skrzywić się. Szczęście, że nasze towarzystwo ma już wyrobioną opinią instytucyi spokojnej, zmierzającej do celów bardzo skromnych, a praktycznych i pożytecznych, i że, jak działalnością swoją nikomu nie szkodzi, tak i nazwą swą nikogo drażnić nie może.

Dzięki liberalności klerykalnego ministeryum, król Leopold wyraził nam życzenie znajdowania się na jednem z posiedzeń kongressu. Wybrano na to Środę, 1 Października. Król w mundurze, w towarzystwie ministra p. Bernaerta i kilku officerów przybocznych, przybył do Pałacu Akademii, gdzie się odbywały posiedzenia kongressu. Biuro, z prezydentem na czele, przyjęło go u wejścia. Minister przedstawił królowi prezesa, a ten z kolei—członków znakomitszych kongressu. Król grzecznem słowem powitał każdego i po dopełnieniu tej ceremonii udano się na posiedzenie.

Niestety, biedny król musiał się nudzić okropnie. Przygotowano mu dwa dania. Po odczytaniu nudnego sprawozdania z konferencyi w Bernie bezzwłocznie p. Pouillet, adwokat paryzki, zaczął mówić o własności literackiej — mówił zaś z tą fakundą właściwą korporacyi, do której należy, mówił, a mówił bez końca. Trzymał nas wszystkich, jakby w zamkniętej fortecy, przez półtorej godziny. Straszliwa jego wymowa, niby ołowiana czapka, ciążyła nam na umysłach. Król jednak nie zasnął, ale iluż z członków chrapało na dobre!

Po wycieczce do Leodium, we Czwartek, kongres ukończył swe posiedzenia w Piątek (d. 3 Paźdz.), a śpiesząc wam dać o tem wiadomość treściwą, szczegóły o Bruxelli do następnego odkładam listu.

γ

POSĄG JERZEGO SAND.

Posąg.— Protestacya Akademii Paryzkiej.— Korrespondencyi tom V i VI.

(Ciąg dalszy)

Sand silnie wierzyła w postęp: w coraz-to wyższy rozum ludzki, w coraz wyższą ludzi doskonałość i lepsze, szczęśliwsze urządzanie się ich na ziemi. Ta ufność w jutro, koniecznie jaśniejsze od dnia dzisiejszego, jest u niej stanem przekonania niezmiennym, poddaje jej ona słowa pociechy przesyłane Barbès'owi, który, podobnie jak Wiktor Hugo, należał wobec rządów Napoleona do nieprzejednanych, i stary bojownik wielkich ideałów z 1848 roku trawił się w smutnych tęsknotach poza granicami Francyi. Ta to ufność każe jej twierdzić, że wiek po skończeniu naszego nastąpić mający da ludzkości poznać Boga, którego nam przeczucie tylko, instynktowna wiara i potrzeba serca, objawiana tęsknotą, uznawać i kochać nakazuje. Z filozofii dziejów i z tego, co rozumna ta idealistka nazywa „wewnętrzną mądrością człowieka"—z siły zmuszającej go, aby tworzył hypotezy i w gmachu z nich wzniesionym dawał mieszkanie nadziejom swoim, wyszło dla Sand owo silne wierzenie w postęp. Ale jest ona zbyt myślącą, zbyt spostrzegawczą, aby mogła być stronną—zaślepioną przez ideę, którą wyznaje, i ztąd też widzi rzecz bardzo bolesną: widzi, że we Francyi nie ma postępu, że młode pokolenie nie jest wyższem od starego, ale, przeciwnie, że cofnęło się w tył, że je ogarnął materyalizm, pochłaniający ducha i związaną z nim poezyą uczucia, pragnienie wyższych moralnych ideałów. Przy jej wierze w postęp nie można w niej brać tego za często powtarzającą się przywarę starszego wieku, za gorycz marudnej starości, oderwanej od żywego ruchu życia. U niej nie jest tak bynajmniej: pisze, drukuje w pierwszorzędnych dziennikach, które utworów jej zawsze poszukują, jak ślad tego widać w jej listach. Jej sztuka „Villemer", przerobiona z romansu „Mademoiselle de la Quintinie" miała powodzenie ogromne, wyjątkowe; tosamo powtórzyło się z dramatem, powstałym również z innej jej powieści: „Mont Revêche", a i ten jej rodzaj dawny, romans, powieść, zawsze są pożądane wydawcom, co znaczy, że są one podawnemu poczytne i drukują się wciąż w najpierwszem czasopiśmie francuzkiem, które niezaprzeczenie było, tak, jak jest i dziś jeszcze najwyżej w hierarchii czasopism francuzkich stojącem—w „Revue des deux mondes". Gdy cesarz Napoleon napisał i wydał swoje dzieło „Vie de César" zpod jej pióra wychodzi pierwsza jego ocena zamówiona u niej przez jednego z pierwszych wydawców paryzkich, Michała Lévy, dla dziennika którego był wspólnikiem. Dostarczył on jej exemplarza książki pierwej, nim ją mógł mieć ktokolwiek inny i z Paryża szukał jej gdzieś w Berry, w Nohant, co dowodzi niepospolitego cenienia siły jej pióra i wysokości rozumowania, którego przy takim rozbiorze było potrzeba. Zdradza się przytem i rachuba pewna na wiarę publiczności w jej niezachwiane zasady polityczne, w jej wyższą uczciwość pisarską, co razem wykazuje, że ta kobieta wielkiej sławy, miała do końca olimpijską koronę blasków u czoła, i pod względem literackim nie zeszła ze swego tronu. W takim położeniu umysł, szczególniej tak wysoki, nie staje się zgryźliwym, że zaś, u Sand zachował się w sile swej dawnej, więc nie był to u niej przesąd, ale sąd — smutny, bolesny sąd, którego wyrok potępiał przyszłość Francyi w jej nadziejach, bo w jej młodych, w tych, co mieli wkrótce ją reprezentować.—„Cher ami de mon coeur—pisze do Barbès'a w 1867 r,—„ze wzruszeniem uważam, żeś ty pozostał *ch uvin*, jak się wyrażają nasi młodzi wielcy ludzie paryzcy, to jest rycerz i kawaler—tak, jak ja pozostałam *trubadurem*, to jest kimś takim, który wierzy w miłość, w sztukę, w ideał, i śpiewa, jak umie, w czasach, gdy inni gwiżdżą lub krzyczą. My-to jesteśmy młodymi szaleńcami wśród tego pokolenia, i ci, co mają nas zastąpić, przychodząc po nas, ofiarowali się być na nasze miejsce starymi, wyżyłymi, zimnymi sceptykami. Nietety! straszy mnie to niemało ze względu na przyszłość, gdy starej gwardyi wcale nie stanie. Tosamo, co i ty, pisze mi jednocześnie mój najpoczciwszy przyjaciel, Gustaw Flaubert. Ten ma czterdzieści sześć lat, ale jest, na szczęście, jeszcze młody; tamci młodzi nazywają go też starym."

„Ach, tak, przyjacielu: chcę też iść razem z tobą na inną planetę, bo pieniądz uczyni wkrótce ziemię niewytrzymalną. Stanie się niepodobieństwem, nawet dla najbogatszych ludzi, aby się nie zajmowali swojem mieniem: wypadnie chyba każdemu po kilka godzin na dzień zajmować się obrotami swoich kapitałów. Będzie to miła rzecz..."

Lęka się Sand i przyszłości pod względem politycznym, ale, mówiąc o zachmurzonym z tej strony horyzoncie, myli się:—„Prussy—pisze—to chmurka dopiero i z tej może nie lunie. Ale oschłość i bezpłodność umysłów jest może bardziej zastraszającą rzeczą, niżeli brak karabinów i żołnierzy w danym momencie. Trzeba nam będzie przebyć erę ciemności, wśród której wspomnienie sławy Rewolucyi, sławy tych wielkich dni, pozostawiających nam płomień w duszach, zmaże się tak, jak cała reszta. Ale cóż robić... przez naszą istotę wiekuistą nie możemy wątpić o przebudzeniu się ideału w ludzkości."

Jest smutna ciężko, ale „otrząsa się ze zmartwień." Złe może być jedynie chwilowem, jest to przejście: epoka *experymentalna* przebędzie doświadczenie i zrozumie, że są rzeczy, bez których ludzkość się nie obywa, i wtedy Francya „zaćmiona" wydobędzie sobie znowu z łona ogień, który grzeje i oświeca, stanie się znowu „ziemią cudów." Gorący jej patryotyzm nie może zupełnie zwątpić, choć czuć silne ściśnięcie biednego serca kobiety, która czuje, a jednak nic nie może przeciw nieszczęściu. Po smutnym krzyku boleści, który jej się wyrwał z piersi, powtarza kilkakrotnie: — To kwestya czasu... i pisze: „Słabi mówią: już nas wtedy nie będzie... Życie ludzkie jest krótkie, a nasze upłynie we łzach i trwodze... Ale odpowiedzmy im, że życie ma ciągłość nieprzerwaną, i że mocni znajdą się zawsze tam, gdzie potrzeba, aby byli."

Jest to rysem charakterystycznym, że przychodzi jej tu nagle na myśl Joanna d'Arc. Nie czytała o niej nic z prac poważniejszych prócz tego, co Henryk Martin napisał był w *Historyi Francyi*, i pyta teraz przyjaciela: jakie dzieła o niej zna?

Potrzebuje i teraz *wierzyć, ponieważ kocha*, broni się trwogom przez wyrabianie w sobie wiary, ale uspokojenie nie chce zastąpić, jakkolwiek silnie pragnęła go. Wystawa Paryzka z 1867 r., ta chwila, która zdawała się tak pełną blasku dla Napoleona i Francyi, której przemysł i bogactwa olśniewały zazdroszczącej jej tego narody, nie dała jej żadnych złudzeń. Pisząc do Ludwika Viardot, nazywa ten właśnie czas „fazą bezczelności w obyczajach, a hypokryzyi w ideach" i znów podnosi skargę swoję poprzednią na starość otaczającego ją społeczeństwa. „Człowiek się dziwi, widząc, że w wieku przeszło lat sześćdziesięciu jest się młodszym i naiwniejszym od młodości i tak zwanej męzkości tego czasu." W liście z tej samej, co poprzednio, chwili, poprzedzającej wystawę, kiedy Paryż wrzał i błyszczał, pisze do Andrzeja Boutet, zięcia owego Desplanches, którego metafizykę tak gromiła: „Kiedy ma się przed oczyma rodzaj ludzki tonący w głupstwie, zepsuciu i starości, kiedy nawet młodość staje się egoistyczną i zmateryalizowaną, szczęściem jest znaleźć w rodzinie swojej duszę piękną, której błędy i przywary są jedynie zbytkiem poważnych przymiotów i wzruszających instynktów. Kochajcie się więc, mimo wszystkiego." Życie w rodzinie nazywa też w liście do Viardot'a „ostatniem schronieniem wolności duszy", a własna jej dusza jest głęboko zranioną.— „Czyżby w atmosferze którą ziemia obecnie wydaje, był gaz *rozweselający*, albo jakiś inny, który ogarnia naraz mózgi i popycha ludzi do dziwactw, tak, jak za czasów pierwszej rewolucyi panował płyn rozdrażniający, który skłaniał do popełniania okrucieństw. Spadliśmy z Piekła Dantejskiego do piekła Scarrona." Pyta Flauberta: „Cóż ty, dobra głowo, i dobre serce, myślisz o tej bachanalii? Gniewasz się... to dobrze. Wolę, niż żebyś się śmiał. A jednak trzeba znaleźć sobie jakąś podporę, aby przyjąć zaszczyt, obowiązek i trud życia. To życie, którego stracić tak się boimy, staje się zadługiem dla tych, którzy rozumieją to, co widzą. Zapewniam cię, że jest w niem jedna tylko rozkosz: dowiadywać się tego, czego nie wiemy jeszcze, i jedno szczęście: kochać (pomiędzy ludźmi) wyjątki.

Są nieco dalej, w liście z tegosamego czasu Wystawy, w liście pisanym do Barbès'a, słowa niemniej ciężkie: „Wiem wszystko, co życie dać może, a raczej, niestety! wiem, czego nam dać nie może w tych dniach rozkładu, gdy nędza ludzka odkrywa nagość wszystkich swych ran moralnych. Ulegamy prawom czasu i fatalności dziejowej, w tem przecież szczęśliwsi od ludzi wieków minionych, że nie wołamy tak, jak oni w razach podobnych:—Oto koniec świata... Nie sądzimy, że wszystko już zdruzgotane jest i zużyte, dlatego, że dzieje się źle dokoła nas. Czy przecież postęp w pojęciach, który uczynił nas w rozumowaniach silniejszymi od ojców naszych, dał nam więcej

cierpliwości, niż mieli oni? Wyostrzył on tylko, jak wszelką rzecz w cywilizacyi, nasz umysł i podniósł w nas zapał. Pożądamy szczęścia, czujemy, że należy się ono ludzkości; pragnienie lepszości, dobra, prawdy, pożera nas."

„Ojcowie nasi posiadali rezygnacyą, niesmak ziemskiego życia, pogardę ziemi. Nam już tego nie wolno. Czujemy, że gardzić chwilą, w której się żyje, jest rzeczą zbrodniczą i podłą (lâche et criminel) a jednak popadamy w to, co chwila. Nie ty.... nie, widzę, że żyjesz w skupieniu myśli: czyny widząc, akcyi szukasz, myślisz o sposobach. Zapytujesz się siebie: jak Francya może zbawić Francyą?—i ty jesteś zawsze *wojownik*, bo zawsze jesteś *wojującym*—piękne to jest i dobre: zazdroszczę ci tego".

Przecież i ona jest *wojującą*. Przekonania ma za silne, uczucie za gorące, aby mogło być inaczej. Choć niewątpliwie pragnie dla każdego słowa, dla każdej myśli ludzkiej możności swobodnego wyrazu, jednak nie wyłącza to oppozycyi z jej strony, zbijania rozumowań, starcia się myśli z myśli. Pisze do Barbès'a w spokojnie szlachetnych słowach: „Dla nas, którzy posiadamy wiarę wzniosłą, należy to uważać za pierwszy artykuł katechizmu, aby inni mieli pod tym względem swobodę zupełną, zaczynającą się od wolności niepodzielania z nami naszej wiary. Bądźmy braćmi wszystkich i nawet ateusze niech nam będą ciałem naszem i krwią naszą." Ale z drugiej strony nie pomija obojętnem milczeniem rzeczy, które się sprzeczają z jej przekonaniem i które uważa za szkodliwe dla ludzkości. Gdy Ludwik Viardot, autor książki: „Libre examen, apologie d'un uncrédule" przysłał jej to dzieło swoje, przeprowadza z nim polemikę w dwóch listach. On jej dowodził w odpowiedziach swoich, że przemawia w imię nauki; ona przecież widzi, że popychała go namiętność przeczenia wierze innych i ztąd naciągania nauki w kierunku założeń swoich i pisze: „Nie jest to może rzeczą dobrą ani rzeczą potrzebną tak stwierdzać nicość, o której nic się nie wie. Prawda powinna być sztandarem walki, ale nie ubierajmy według naszej chęci tej nagiej pani, która aż dotąd nie pokazała nam się nigdy bez zasłony. Usiłujmy nakłonić ją do odkrycia się, ale nie nadawajmy jej obliczu rysów pożyczonych. Zdaje mi się, że w tych czasach posuwamy się za daleko w stwierdzaniu (affirmation) tak przez naukę przez jak sztukę ciasnego i zbyt grubego realizmu. Żądając z zapałem dla nauki tego prawa, aby mogła wypowiadać wszystko co wie, a nawet to, co przypuszcza, nie pojmuję, aby ona nam mówiła: „Wierzcie w to ze mną pod karą pozostania z ludźmi przeszłości". Na głos: „Niszczmy, aby dowodzić, rozwalajmy, aby przebudować!...." odpowiadam: „Ograniczcie się na dowodzeniach, ale nie narzucajcie się. Nie jest to rolą nauki uderzać z gniewem i w roznamiętnieniu. Nie jest to mieć prawdę za sobą, gdy się mówi: „Należy wierzyć, że prawda jest z nami." Nauka jest drogą, do prawdy wiodącą — to rzecz pewna, ale daleką jest jeszcze od celu, czy twierdzi, czy zaprzecza istnieniu klucza, który otwiera sklepienie wszechświata."

W innym liście autorka *Consueli* pisze do tegosamego Ludwika Viardot: „Mówisz, że masz za sobą prawdę, ale droga do niej nie jest zamkniętą i poza celem, który osiągnąłeś, są jeszcze inne rzeczy również prawdziwe i tak będzie zawsze—aż do końca wieków ludzkości. Gdyby rozum i doświadczenie nakazywały zamykać księgę życia intellektualnego, nie byłyby one więcej warte od źle pojętego spirytualizmu. Otóż ja sądzę żeś nie dosyć się liczył (w książce *Libre Examen*) z ważnością uczucia. Było ci to rzeczą wygodną wyrzucić je jako przyjemną hypotezę i zapomniałeś, że właśnie ma ono takąsamą wartość, jak rozum, że indukcya nie ustępuje w niczem dedukcyi. Nie dam ja ci klucza, któryby otworzył odrazu oboje tych drzwi, aby wkroczyć przez nie w świat idei kompletnych. Nie mam go—nie jestem na to dość mądra, ale to wiem, że jest takie wejście podwójne, ty zaś pukasz do jednych tylko podwoi. Co do tego—pukaj.... może to mieć jedynie dobry skutek, bo złem najgorszem są drzwi nieotwierające się zgoła."

Kończy na tem, urywając, a kiedy dalej, w przypisku do żony, Pauliny Garcia, pisze coś: „jak Bóg zechce..." dodaje żartobliwie: „Niechże Ludwik przebaczy mi tę *hypotezę*" ale zaraz potem wyraża się poważnie,—a chodziło tu o stan jej zdrowia: „Zobaczymy, co da ten dobry Bóg stary."

Świetny blichtr otaczający Napoleona nie dał jej złudzić się, co do jego znaczenia i potęgi w Europie. Ogromny postępFrancyi na drodze przemysłu jej niezmierne bogactwa, niezmierny pod względem materyalnym przyrost zasobów kraju wcale też nie olśnił jej, nie oślepił: ma okrutne, męczące przeczucie ruiny, które istnieje u niej po za zapowiedzią wojny, przewidywanej przez jej przyjaciół: „Lękasz się *Hunnów*—pisze do Barbès'a. Ja, ja widzę u nas więcej zastraszających barbarzyńców, a dla oparcia się tym dzikim, widzę świat intelligencyi dręczony przez fantazye, wiodące tylko do tego, aby poddać się hazardom przewrotów, nie przynosząc im ze swojej strony ani przekonania, ani doktryny.... Żadnego ideału! Rewolucye staną się zagadkami, których historyi nie będzie podobna napisać z uchwyceniem ich prawdziwego sensu, taka będzie w nich komplikacya intryg i krzyżujących się interessów."

Wiemy dziś, że umiała ona dobrze patrzeć: wojna, najazd nie tyle rozbił, rozgromił Francyą, ile jej materyalizm, ile jej zbogacenie się ubożące, inaczej: używanie, które ją zdenerwowało i osłabiło. Polityczny horyzont nie mógł też okazać najmniejszej zapowiedzi burzy, aby to nie sprowadzało paniki między motłochem zjadaczów chleba, a raczej zjadaczów łakoci. Co też Sand wyraża niemal rozpaczliwie w liście do Flauberta z 1867 r:—Nigdy myśl niebezpieczeństwa nie wywołała w narodach podobnej demoralizacyi, i czyż to miałby być rezultat dobrobytu, czyż to cywilizacya miałaby spychać w ten egoizm chorobliwy i podły?"

Nie pyta przecież, czy pokolenie będące ojcem i matką dlatego tłumu tchórzów, dla tych barbarzyńców, gorszych, niżeli Hunnowie, nie przyłożyło się w części swojej do tego wstrętnego stanu? Nie pyta: czy owe prawa natury, które sama głosiła tak szeroko, czy owe prawa jednostki do szczęścia, podnoszące się ponad przyjęty obowiązek, nad węzły, które namiętność targała—to nie początek tego dalszego ciągu? Ale cicho... była już spowiedź z jej strony, i danem jej zostało rozgrzeszenie. Czujemy po wyrazie jej uczuć, że teraz cierpi ciężko ze wszystkiemi szlachetniejszemi sercami Francyi—i to jest jej pokuta. „Dużo myślałam nad tem, co jest prawdą? i w tem jej poszukiwaniu uczucie mojego *ja* coraz bardziej niknie we mnie"—pisała do Ulbacha już w 1864 r. — musiała więc wydać w duszy swojej sąd nad sobą dawną, ta ona dzisiejsza, która przy takim stanie ducha mogła, musiała nawet osądzić przeszłość, od której oderwała się już niejako, beznamiętna i spokojna o tyle, że może napisać: „Umiem teraz żyć bardzo dobrze *poza sobą* (hors de moi), czego dawniej nie było." Że zaś ta kobieta jest szczerą, dowodzi tego coś, co się więcej czuje, niż wykazać może. Nigdy też u niej nie było deklamacyi, słów dla parady: były szalone wybuchy płomieni, były gwałtowne, namiętne sofizmata, były fałsze filozoficzne, ale bez fałszywości, dawane ludziom tak, jak teraz bez fałszywości pisze o sobie przyjaciołom, którzy dotrwali wiernie jej starości. Przyznaje się też z prostotą do pewnego egoizmu w swem uczuciu dla nich i pisze do Barbèsa: „Im dalej idzie się drogą naszą, tem więcej czuje się potrzeby oparcia na dawnych towarzyszach podróży." Ale w każdym razie jest teraz w tem jej uczuciu więcej głębokości i ukochania prawdziwego, niż niegdyś, gdy ludzie byli tylko dla niej towarzyszami chwil upojenia. Teraz *ustalił* się w niej ideał przyjaźni, miłości wszelkiej: uczucie nabyło trwałości i stało się potrzebą życia, co jest konieczną cechą wszelkiego rzeczywistego przywiązania, choć może i tu jest to ziarenko egoizmu, jaki się znajduje we wszelkich rzeczach ludzkich.

Tosamo pogłębienie uczucia spotyka się u niej pojęcia we względzie obowiązków kobiety w rodzinie. Syna Maurycego kochała bardzo od lat najmłodszych, córkę o wiele mniej, ale zawsze usiłowała do pewnego stopnia spełnić i tu swoje obowiązki matki; przecież fakta jej życia wykazują, że wzgląd na te obowiązki nie zakazał jej nigdy być tem, czem być chciała. Teraz jednakże inaczej to pojmuje: widzi w macierzyństwie zobowiązanie nałożone na kroki życia kobiety, i z powodu książki Edwarda de Pampery w przedmiocie obowiązków i przeznaczeń kobiety pisze do jej autora, że logika i serce składają się na jednakowe pojęcie powinności kobiety zachowania się przedewszystkiem rodzinie. „Te, które utrzymują, że można być razem deputowanym i chować dzieci, snadź nie chowały ich same, bo wtedy wiedziałyby, że rzecz jest niemożliwą. Wiele kobiet zasługujących na szacunek, wybornych matek, jest zmuszonych ze względu na pracę powierzać swoje maleństwa rękom obcym; ale jest to wada naszego stanu społecznego, który co chwila nie uznaje natury i sprzecza się z nią. Kobieta może w chwili danej odegrać w porywie natchnienia jakąś polityczną lub społeczną rolę, ale nie wykonywać urząd, któryby ją oderwał od naturalnej kobiecej missyi: od miłości rodziny. Mówiono mi nieraz, że pod względem ideału postępu jestem zacofaną: niewątpliwie wyobraźnia może w stosunku do postępu wiele przypuścić; czy przecież sercu jest przeznaczonem ulegać zmianie? Nie sądzę, i ztąd też widzę kobietę nazawsze pozostającą w niewoli swego serca. Napisałam to wielokrotnie i zawsze tak myślę."

Spotyka się w korrespondencyi z 1869 roku szczegół ciekawy i razem wzruszający. Ta kobieta genialna uczyła sama czytać służących. Opisując przyjacielowi swego syna, Edmundowi Pluchaut, jak przepędza lato w Nohant, przytacza wesołą anegdotkę o chłopaku wiejskim, zabawnym samochwalcy, którego przyjęła do służby pokojowej i zakończa: „Jest to tak dobry chłopak, że go zostawiamy. W przeszłym roku nauczyłam go muzyki—został trębaczem wiejskiej straży ogniowej—teraz zacznę uczyć go czytać." Rys charakterystyczny takiej dobroci i prostoty, że sprawia wrażenie słodkie, które roztkliwa.

Ma teraz lat sześćdziesiąt kilka, już ją odbiegło wielu przyjaciół, umarł już Barbès, i z bliższych jej pozostał tylko jeden, względnie do niej młody, człowiek, z późniejszego niż ona pokolenia, Flaubert. Korrespondencya między niemi teraz jest zawsze częsta, dwa te umysły odpowiadają sobie, a serca są przychylne. W tym czasie ukazuje się też wśród korrespondentów Sand postać nowa: Julietta Lambert, już zamężna i literatka. Sand do niej pisuje, widocznie dlatego, że jest grzeczną, robi dobre uwagi co do książek, które tamta pisze; ale jest to tylko znajomość i nie może być inaczej, bo jedna nie dorosła duchem drugiej: przytem, w p. Adam, w jej pogaństwie, w jej greczczyznie, jest coś sztucznego, obstalowanego dla effektu, gdy Sand jest wielką, w złem czy w dobrem szczerą i wysoką naturą. Jak zwykle wielkie talenta, ma ona coś do powiedzenia ludzkości, dlatego kocha zawsze pracę: i to jest błogosławieństwem jej starości; spotykamy też takie jej słowa w liście do Flaubert'a: „Pisze się dla wszystkich; dla wszystkich którzy potrzebują przyjąć chrzest litery—gdy się nie zostanie zrozumianym, przyjmuje się to z rezygnacyą i zaczyna nanowo; jeżeli pojęto nas—to radość jest i ciągnie się dalej. W tem-to kryje się cała tajemnica pracy wytrwałej i miłości sztuki. Co to jest sztuka bez serc i umysłów, aby się w nie przelewała? To słońce bez promieni, któreby nic nie ożywiało."

Gorące, szlachetne słowa, które były odpowiedzią Flaubertowi, mówiącemu: że pisze dla dwunastu osób..... Pisać dla dwunastu! na co? Ci wybrani tyle wiedzą, tyle są umysłem warci, co i piszący, więc nie potrzebują go....

Że to była sztukmistrzyni do każdej kropelki krwi, do każdego drgnięcia nerwu, wie każdy, kto ją czytał, ale niemniej nie rozumie ona sztuki dla sztuki. Sztuka dla życia: dla tego, co myśli i czuje—sztuka dla ludzi !

Dlatego było zawsze gorącem to, co pisała, dlatego pociągało i dlatego drugostronnie zachowała ona poza kres zwykły zamiłowanie pisania, zapełniające jej życie i niedopuszczające do niej nudy. Były tam tęsknoty, były smętności, ale

od uczucia próżni zachował ją „dobry Bóg stary“. Jej pojęcie życia nie ulega bynajmniej zgrzybiałości moralnej. Można też zamknąć V-ty tom jej korrespondencyi, sięgający do 1870 r., tem jej zdaniem, pełnem czerstwej, zdrowej siły: „To tylko jest dobrem w życiu, co się życiu przeciwstawia: z dniem, w którym tylko o zachowaniu go myśleć zaczniemy—już nie warto jest żyć.“

Marya Ilnicka.

Kronika działalności kobiecej.

— W krakowskiem *Muzeum Techniczno-Przemysłowem* Dra Baranieckiego rozpoczęły się d. 1 Października w kobiecym *Wydziale Sztuk Pięknych* lekcye rysunku, malarstwa i modelowania, następnie rozpoczną się odpowiednie temu wykłady. Główny kierunek tego wydziału ma zawsze dyrektor Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, Matejko. W pierwszym oddziale: malarstwa olejnego i akwarelowego udziela malarz: Jan Styka. Rysunek z natury został w tym roku przyłączony do tego oddziału, jeżeli przecież zbierze się dostateczna liczba uczennic, utworzy on oddział osobny. W II-gim oddziale, rysunku i malarstwa udziela J. Siedlecki; w oddziale III-cim Karolina Bierkowska w zastępstwie Leonii Bierkowskiej. Oddział IV-ty jeszcze nie obsadzony, w oddziale V-tym rysunków niedzielnych udziela Karolina Bierkowska. Rysunku geometrycznego, poprzedzonego nauką geometryi z zastosowaniem do ornamentyki, udziela adjunkt obserwatoryum astronomicznego Dr D. Wierzbicki; rysunku linearnego, nauki lawowania i nakładania kolorami, tenże Dr Wierzbicki. Wykłady będą: anatomią artystyczną, naukę o proporcyach i postawach wykładać będzie docent Uniwersytetu Jagiellońskiego Dr J. Kopernicki; perspektywę artystyczną professor Krakowskiej Akademii Techniczno-Przemysłowej J. Rotter; historyą sztuki kustosz krakowskiego Muzeum Techniczno Przemysłowego, architekt J. Wdowiszewski. Tenże wykładać będzie o stylach, o sztukach graficznych i o środkach reprodukcyi tychże. W *szkole rzeźbiarstwa* modelowania w glinie udziela rzeźbiarz: Marcelli Gujski. Wykłady na *Wydziale historyczno-literackim* i na *Wydziale nauk przyrodniczych*, jako też nauka gospodarstwa kobiecego rozpoczną się z dniem 1 Listopada.

— Przerwała się nić bardzo zasłużonego kobiecego żywota. W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca zmarła we wsi Mgowie, pod Toruniem, Antonina Działowska, znana w prowincyi swojej z poczciwej cnoty obywatelskiej, z poczciwego uczucia i rozumu obywatelskiego. Po śmierci, tak jak i ona szlachetnego, brata swego, Zygmunta Działowskiego, objęła w posiadanie majątek rodzinny, dobra Mgowskie, w stanie interessów bardzo zawikłanych; przecież przez pracę, oszczędność, przez poświęcenie się na trudy, często niemałe, ona utrzymać w rękach swoich posiadany kawałek ziemi ojczystej. Świętej pamięci Antonina Działowska wywiązywała się z obowiązków swoich na polu wszelakiem; ciągnęła dalej rozpoczętą działalność brata swego: dostarczała zapomogi *Naukowemu Towarzystwu* toruńskiemu, wydała kosztem swoim dzieło cenne, *Archeologiczną mapę Prus Zachodnich*, ułożoną przez Gotfryda Ossowskiego. Nie brakowało jej nigdy zapasu na uczciwe spełnienie obowiązków swoich i cześć bratnia niech jej towarzyszy do grobu. Zwłoki zostały złożone w Wielkołęce pod Toruniem, gdzie się złączą z prochami ojców i dziadów na odpoczynek wieczny.

— Siostra Miłosierdzia, Franciszka Dłuska, rodem z Płockiego, zmarła w Konstantynopolu. Życie to było pełne poświęcenia, oddane najświętszem dla człowieka uczuciom. W r. 1864 opuściła kraj, święcenie otrzymała w Wiedniu; ostatnie lata jej życia oddane były na posługę bliźniego w Turcyi. Zostało po niej rękopismo książki do nabożeństwa, napisanej poturecku.

— W letnim semestrze tegorocznym, studentki Uniwersytetu Zurychskiego związały się w stowarzyszenie, którego celem jest wzajemna pomoc i kollegialne obcowanie ze sobą studentek, oraz wyższe kształcenie się umysłowe. Stowarzyszone zgromadzają się co dwa tygodnie i po rozpatrzeniu interessów stowarzyszenia, następuje odczyt w przedmiotach odpowiednich założeniu stowarzyszenia. Stowarzyszenie obejmuje Angielki, Amerykanki, Niemki, Szwajcarki i t. d., nie znajduje się tu tylko Rossyanek. Komitet stowarzyszenia składa się: Marya Lothorp, studentka medycyny, prezydująca; Franciszka Haag, kandydatka medycyny, sekretarka; zastępczyni jej Ida Steinman, studentka filozofii; Karolina Wohlbrück, studentka chemii na politechnice, wiceprezydentka. Mrs Dupré Treadwell, kandydatka medycyny, bibliotekarka. Jako temata prelekcyi, po których musi zawsze następować krytyczna nad niemi dyskusya, zapisano: I) O wychowaniu dziewcząt w Niemczech. II) Kobieta wobec praw angielskich. III) Stanowisko kobiety w dziedzinie umiejętności. IV) Marya Stuart, według najnowszych badań historyi. V) Parsiwal Wolframa von Eschenbach i Wagnera. VI) Nieuzasadnienie teoryi o umysłowej niższości kobiet. Najważniejsza i samodzielna dyskusya, na którą zapisało się już trzy głosy: Miss Kelley, studentka prawa; Miss Sargent Dr medycyny i studentka filozofii, Bawarka, von Schirnhofer, ma dać odpowiedź na zagadnienie: „Co to jest wychowanie?“ Sądząc ze wskazówek, przypuścić należy, że młode grono, mające je roztrząsać, jest usposobione poważnie, spokojnie i bynajmniej z drogi powołania kobiecego wykolejać się nie pragnie. Stowarzyszenie ma zamiar urządzić kassę pomocy dla niezamożnych studentek a następnie stypendyum dla studentki, której examin wstępny będzie najwyżej zadawalniającym.

— Na doroczną wystawę obrazów w Bruxelli pięćdziesiąt sześć malarek przysłało utwory swoje, przecież z tej liczby pięć tylko zostało przyjętych.

— Historyczne Towarzystwo londyńskie wezwało Miss Frere, córkę zmarłego lorda Bartle Frere do napisania pamiętnika z notat po nieboszczyku pozostałych. Poświęcał się on głównie filozofii dziejów i cennym jest materyał, który Miss Frere ma zużytkować.

— Niemiecka delegatka na londyńskim kongressie edukacyjnym, panna Heerwart, została zaproszoną przez angielskich członków kongressu do praktycznego uzupełnienia swego referatu o metodzie Froebla i zaraz w gmachu kongressu odbyła ze zgromadzonemi tam dziećmi, które wzięto z najbliższej ochronki, lekcyą trwającą półtorej godziny.

— Ostatnie statystyczne obrachowania wykazały, że jest na świecie 17,000,000 masonów, a w tej liczbie 3,000,000 kobiet.

— Na zgromadzeniu kobiet niemieckich, takzwanym: „Frauentag“, które w lecie bieżącego roku odbyło się w Düsseldorfie, wykazał się stan taki spraw kobiecych: Prawa do pracy, jakiej Niemka żąda w różnych kierunkach, trudno zdobyć odrazu i tu jej własne uzdolnienie, jej większa lub mniejsza energia rozstrzygać musi. Ale od społeczeństwa swego żąda ona usunięcia niesprawiedliwości prawnej, której jest ofiarą: jako żona pod względem zarządu majątkiem swoim, jako matka, gdy zostając wdową nie ma takiego prawa opieki nad dziećmi swemi, jakiego używa owdowiały ojciec. W zawodzie pomocnicy lekarza, Niemka zdobyła już stanowisko poważne i coraz-to więcej kobiet zajmuje posady intendentek w szpitalach publicznych i prywatnych domach zdrowia; lekarze żądają tego. W całem Wielkiem Księstwie Badeńskim posady takie zostały powierzone kobietom i pielęgnowanie chorych jest tam prawie wyłącznie w rękach kobiecych. Wielki szpital w Karlsruhe, na 300 łóżek, jest w całości dozorowany przez kobiety. Miejsce intendenta zajmuje kobieta: Ida Moessinger, pod jej zwierzchnictwem pozostaje dwanaście Sióstr Miłosierdzia i 40 osób służby, tak męzkiej, jak żeńskiej. Żaden lekarz nie rezyduje w szpitalu, który niemniej jest uważanym za wzorowy. We Freiburgu szpital oftalmiczny jest podobnie zarządzany przez kobietę; w Hamburgu dom zdrowia dla chorób nerwowych został założony, i jest całkowicie prowadzony przez kobietę, Fryderykę Alpheus, przy pomocy Dra Cohna, który jest w Hamburgu jednym z najznakomitszych lekarzy specyalistów w tym kierunku. W Dreznie jest dom zdrowia prowadzony podobnie przez kobietę, przy pomocy lekarzy przybywających z miasta. Przytem Niemcy posiadają już pewną liczbę kobiet lekarzy, oddających się chorobom dzieci i kobiet; pewną liczbę dentystek, ale brak tam jest, szczególniej w Niemczech protestanckich, gdzie katolicka Siostra Miłosierdzia nie spełnia swej ofiarniczej służby, pielęgnowaczek chorego. Więcej dyakonis, odpowiadających poniekąd Szarytkom katolickim, więcej świeckich pilnowaczek—oto miejsce wolne w pracy kobiet niemieckich.

— We Francyi w zawodzie nauczycielskim nastąpiło przepełnienie i według liczb statystycznych jest obecnie w Paryżu cztery razy więcej wykwalifikowanych nauczycielek, niż miejsc do zajęcia. Gdy przed kilku laty z miejskich szkół paryzkich usunięto nauczycielki zakonnice, natychmiast znalazła się na zastąpienie ich potrzebna ilość nauczycielek świeckich z patentami rządowemi. W jednym, bieżącym roku, zdało tam examin nauczycielski, wcale nie łatwy, 2,400 kobiet i razem jest obecnie w Paryżu przeszło 5,000 nauczycielek z patentami. Kilkaset zpomiędzy nich złożyło examin tylko dla zabezpieczenia niepewnej przyszłości, ale obecnie jeszcze tej pracy nie poszukuje, poszukuje jej przecież reszta—czyż znajdzie? W 180 miejskich szkołach Paryża jest 1,200 miejsc jedynie i wakanse nie otwierają się tam często: to też bardzo wiele uzdolnionych nauczycielek zwraca się do innej pracy; stają się szwaczkami, hafciarkami—kolorują litografie, malują na szkle lub porcelanie, co wszystko daje zarobek bardzo mały, szczególniej przy bardzo silnej kunkurrencyi i w tych kierunkach. Może też z tego powodu nie same nic nieumiejące prócz języka swego, nie same liche osobistości, jak to dziś ma przeważnie miejsce, będą z Francyi jako nauczycielki do nas napływać.

ZAGRODA DE LA CARIDAD

EPIZOD Z WOJNY

FRANCUZKO-HISZPAŃSKIEJ **1808** ROKU

przez

Henryka Rodriguez de Salis

przełożył z hiszpańskiego **D.**

(Dalszy ciąg).

— Dzięki ci, Filipie, gdyż blizka jest godzina działania i powinność powołuje nas. Opuścić musimy ten dom.

Wkrótce zatem Jakób z Filipem i wieśniakami, przedzierając się po ścieżkach mało komu znanych, kierowali się ku wyniosłości, wśród której wznosiła się pustelnia św. Anny. Był to oznaczony punkt zebrania.

Gdy przybyli, już rozmaite gromady zajmowały miejsca swoje. Mężni górale, nie zważając na silny mróz, zgromadzili się tu szukać śmierci. Francuzów widziano już w okolicy, lecz ci prości wieśniacy, prawi synowie Katalonii, zebrali się tu, niezważając, że im trzeba będzie zmierzyć się z potęgą sił regularnych wojsk francuzkich, z armią bitną i doświadczoną. I oczekiwali też spokojnie ukazania się nieprzyjaciół, pragnęli upokorzyć ich dumę i dowieśdź czynem złotemu orłowi Cezarów, co znaczy, i czego może dokonać drobne ptaszę kiedy walczy, silne sprawiedliwością swej sprawy, mężne przez to uczucie, że potyka

się w obronie rodzinnego ogniska, rodzinnej ziemi, w której spoczywają kości ojców, gdzie mieszczą się po chatach kolebki niemowląt, gdzie stoi łoże starej matki, gdzie jest ich dom w cieniu drzew starych, które ocieniają go w lecie i chronią od wichrów w zimie, gdzie strzelają w górę wieże kościoła, gdzie kapłan sędziwy mówi im o obowiązkach względem drogiej im ziemi, z której kiedyś usypią im mogiły.

— Dobry i błogosławiony niech będzie wieczór dzisiejszy—odezwał się Jakób do zebranych przyjaciół, wyciągając na powitanie rękę, którą wszyscy uścisnęli serdecznie.

— Niech cię Bóg ma w opiece swojej! — odpowiedziano mu chórem.

— Powód zgromadzenia się tu naszego już, niestety, nikomu nie jest tajny; wiemy wszyscy co tu robić będziemy.

— Tak—odrzekły mu głosy—wiemy to....

— Francuzi już nadciągają i należy się wziąć do broni. Wieści otrzymane przez zakonników św. Benedykta są pewne, nieprzyjaciół ledwo co nie widać i jeszcze przed świtem napadną niewątpliwie biedne nasze chaty, niosąc tam rzeź i zniszczenie. W takiej wspólnej potrzebie powinnością jest każdego dobrego syna Hiszpanii schwycić za oręż. To nie o naszą wieś tylko chodzi: ojczyzna jest w potrzebie i niech przekleństwo niebios dotknie tego, kto w tak ważnej chwili nie posłucha jej żałosnego wezwania!

— Tak! niech przekleństwo niebios dotknie tchórza lub zdrajcę! — zawołali wszyscy głosem stanowczym.

— A błogosławieństwo niebios niech zstąpi na każdego, kto, jak ty, opuszcza żonę umierającą i ojca starego—dodał Filip, zwracając się do Jakóba.—Po górach i skałach dążyłeś na obronę rodzinnej ziemi i poświęciłeś tej powinności najdroższe dla serca ludzkiego rzeczy: żonę, dziecko i ojca starowinę.

— Kto broni kraju, broni dzieci, żony i rodziców starych — zawołał Jakób — Da Bóg, że Francuz nie przestąpi progów naszych ubogich chatek, nie zbezcześci naszych rodzinnych ognisk, nie przerwie modlitwy naszych małżonek i synów, nie upokorzy czoła naszych ojców, bo choćby trupy nasze leżące przed domami, zagrodzą drogę do nich zuchwałym cudzoziemcom.

— Da Bóg! da Bóg!.... wołano.

Wtem nagły wykrzyk: — Ah! Jezus! rozległ się w przestrzeni, a za nim zabrzmiał zaraz głucho jęk stłumiony, chrypliwy, jęk ostatni, jaki wychodzi z piersi człowieka, poprzedzając ostatnie jego tchnienie. Kilku ludzi wyskoczyło zpomiędzy krzaków wołając:

— Do broni, sprzedano nas! do broni! Jesteśmy zdradzeni; Francuzi już są tu—Francuzi!....

— Francuzi—powtórzyły gromady przelękłe.

— Cicho—rzekł Jakób—cicho. Co to jest?

— Szpiegi nasi pewno zostali przekupieni, nieprzyjaciel już tu, już morduje naszych.

Wystrzały stwierdziły ostateczuie te wiadomości i trzech ludzi padło.

— Na ramię broń!—zakommenderował Jakób głosem piorunującym - na ramię broń! Wspieraj nas święta Panno z Monseratu! Niech żyje Katalonia!

— Niech żyje!—wtórzyli waleczni. Jakób raz jeszcze zakommenderował: Celuj... Ujrzano i Francuzów, którzy nadciągali w liczbie tysiąca ludzi. Wieśniaków było nie więcej nad stu. Jakób wydał rozporządzenia, aby podczas, gdy połowa tej siły będzie stawiała czoło nieprzyjacielowi, druga połowa przez parowy i doliny śpieszyła bronić wsi.

Bój zacięty toczył się noc całą, brzask dnia oświecił oblicza poległych bohaterów, którzy bronili jak lwy każdej piędzi ziemi i woleli umrzeć niż ustąpić. Jakób ożywiał ich męztwo słowem i przykładem; górale padali, walcząc do ostatka.

Wreszcie po długiej walce musieli ustąpić przeważnej sile, a więc, zwijając się na prawe swe skrzydło i wybrawszy krótką ścieżkę, która wiodła po nad przepaścią i dała im wyprzedzić wojsko francuzkie o połowę drogi, śpieszyli stanąć we wsi, gotowi znów na przyjęcie nieprzyjaciela. Lecz zaledwie podeszli ku pierwszym chatom osady, zatrzymali się w straszliwem przerażeniu. Paliło się, ogień objął już większą połowę wsi. Nieprzyjaciel bowiem, wiedząc dobrze, że tam zostali tylko starcy i kobiety, obrał sobie inną wśród gór drogę i napadł sioło z przeciwnej strony, wprzód jeszcze zanim nadciągnął tam wyprawiony przez Jakóba dla obrony oddział pięćdziesięciu ludzi. Walka zawrzała na śmierć lub życie.

Jakób nie stracił odwagi; zebrał trzydziestu pozostałych jeszcze ludzi i, wkraczając prędko do wsi przez ogród kościelny, zdołał pomieścić na dzwonnicy dziesięciu śmiałków, którzy śmiertel ny ogień sieli ztamtąd na Francuzów, podczas gdy on z resztą swych ludzi nacierał na nieprzyjaciół zajmujących główną ulicę. Zaskoczeni niespodziewanie, a raczej zdziwieni widokiem nadludzkiego tego męztwa górali, Francuzi cofnęli się na chwilę; z tej chwili skorzystał Jakób, zajmując pozycyą w rogu placu, do którego dopierał własny dom jego.

Wkrótkim czasie Francuzi, ochłonąwszy z uczucia, z niespodziewanego zaskoczenia, natarli znowu na górali z walecznością francuzką i z tą pewnością, jaką daje przewaga liczebna; lecz górale wydawali się przykutymi do ziemi i nie ustępowali ani kroku.

Dowódzca rozkazał, aby łuczywa smolne, któremi podpalano poprzednio część wsi, znowu zostały użyte dodziałania. Teraz już pożar wybuchający z całą siłą, stał się powszechnym i oczom walczących Hiszpanów przedstawił się obraz okropny, przerażający!

Kobiety wybiegały z domów; jednak pomnąc, że były matkami i że w nich zostawiły dzieci, powracały tam znowu wśród wijących się płomieni i wybiegały na nowo z opalonem odzieniem, tuląc na ręku skarby swego serca, wznosząc je w górę na znak tryumfu i okazując mężom swym i synom, jako dowód odwagi swej i heroizmu.

Dziewczęta uprowadzały nieszczęśliwych starców, a kiedy chód zbyt pośpieszny zanadto ich trudził i musieli zatrzymywać się, one ustawiały się niby murem, zasłaniając ich: otrzymywały w pierś kule nieprzyjacielskie i umierały z uśmiechem męczenniczek na ustach.

Jęki, wykrzyki boleści i dzikie groźby wrogów rozlegały się dokoła, gdy naraz przybył nowy rys do straszliwego obrazu: żołnierz francuzki z pochodnią w ręku zwrócił się do domu Jakóba, drzwi już miały się zająć płomieniem, kiedy Jakób nadbiegając bez tchu, zdołał wyrwać ją z rąk srogiego niszczyciela. Drogo opłacone zwycięztwo! Wystrzały zagrzmiały z różnych stron i Jakób padł pod kulami u tychżesamych drzwi, które przed chwilą ocalił.

— Święta Panno z Monseratu, wybaw ich, a niech ja ginę! — to były słowa, które z ust padającego wyszły, pełne gorącego uczucia prostej wiary wieśniaczej: otrzymał też odpowiedź cudowną:—Już są ocaleni!— zawołał głos jakiś, jakgdyby nad głową Jakóba.

— Dzięki ci, o Panno Najświętsza!— wykrzyknął, obracając się, ale nie dostrzegł nikogo. Tylko zabrzmiały nowe wystrzały i dźwigający się padł już teraz bez powstania.

Niebawem nastała okrutna cisza. Górale, rozbici, ranni, opuścili ulicę wioski i pomagali żonom unosić dzieci przez skały i cierniste zarośla, a ktoby znający tutejszych ludzi śledził był uważnie tę scenę popłochu, mógłby był usłyszeć rżenie Jakóbowego konia, na którym wyjeżdżała żona jego z ojcem; przeor Benedyktynów wiódł go za cugle, ukrywając nadto małe chłopię pod grubym swym habitem.

II.

Nim przejdziemy do dalszego ciągu opowieści naszej, musimy objaśnić czytelnika, jaki to cud ocalił rodzinę bohatersko walczącego Jakóba? Cud stał się przez szlachetnie stworzone od Boga serce człowieka. Gdy już wieś została podpaloną przez Francuzów i następnie gdy za wkroczeniem Jakóba z garstką górali, toczył się bój rozpaczliwy, przeor, wraz z Piotrem, bratem nieobecnego gospodarza i jego czeladzią stanął u drzwi Masia de la Caridad—i zabarykadowały je ciała tych mężnych ludzi. Ale przyszła chwila straszna, gdy Piotr padł śmiertelnie raniony i przeor wszedł do izby chorej.

— Michalino — rzekł — większa część wsi już gore, podpalona przez Francuzów. Wysiłku trzeba, córko moja, wysiłku! a szlachetny twój mąż ujrzy syna waszego ocalonego przez mężną matkę a ojciec twój stary ujdzie śmierci w płomieniach i będzie umierał kiedyś spokojnie, mogąc uściskać przed zgonem córkę pobłogosławić wnuka. Jakób oczekuje nas u wstępu do doliny, Boska opieka nad nami! od ciebie zależy ocalenie ojca i życie twojego syna! Dźwignij się z łoża boleści.

Michalina podniosła się z wielkim wysiłkiem, przywdziała suknie, a wziąwszy na ręce syna i podając rękę staremu ojcu, zaczęła postępować, słabym krokiem, lecz wytrwale, po wschodach. Gdy weszli w podwórze, częściej już dawały się słyszeć strzały i wrzask Francuzów; okrzyki „gore“ dolatywały uszów.

Podczas gdy Michalina odziewała się, przeor zeszedł na dół i osiodłał konia Jakóbowego, na którym pomieścił biedną kobietę i starca.

— A syn mój? ojcze, syn mój?—wołała.

— Syn wasz do mnie należy, ja go nieść będę na ręku, a w razie, jeżeli napadną nas, Bóg nie odmówi opieki przewodnikowi jego, słudze swojego ołtarza. Suknia moja zakonna będzie go chronić i nikt z tych ludzi, jakkolwiek byliby nieludzkimi, nie będzie śmiał wyrwać go z objęć kapłana.

(Dokończenie nastąpi)

Sprostowanie.

W Nr 41 *Bluszczu* na str. 329, w szpalcie 3-ej, w wierszu 3-cim od góry powinno być: „który to ubytek nagrodzonym być musi przez zwiększone przyjmowanie pokarmów, a potem że skutkiem ruchu zwiększa się ilość wydzielin przewodu pokarmowego, co sprowadza apetyt“ i t. d.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Dokończenie tomu I-go powieści pod tyt.: **Dwie.**

TREŚĆ. Pogawędka. — Zaklęcie, (poezya), przez Kruczyna. — Pierwsza nowella, (dalszy ciąg), przez J. Zacharyasiewicza. — Siódmy kongres międzynarodowy literacki w Bruxelli. — Posąg Jerzego Sand, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Kronika działalności kobiecej. — Zagroda de la Caridad, (dalszy ciąg), Epizod z wojny francuzko-hiszpańskiej 1808 r., przez Henryka Rodriguez de Salis.

Dodatek obejmuje: Dokończenie tomu I-go powieści p. t.: Dwie, przez M. Georgianę Craik.— 28 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Октября 1884 года.